

Poeta srebrnej legendy

Niewiele poetów ma to szczęście, że ich odejście powoduje powszechne uczucie prywatnej, osobistej straszy. Tak było z Gałczyńskim. Jego wiersze spod znaku Kwadrasy odzwierciedlały w pamięci(!) wydano tuż po wojnie pod niebem Italii. Jego wiersze krakowskie, szczecińskie i poematy narodzone w podolskiej leśniczówce, pełne Bałcha, księżycy i zaskakujących skojarzeń, same torują sobie drogę do ludzi.

Villon nadwiślańskich uliczek

Jeszcze w gimnazjum Gała rozmiłowany w klasycie, rozwierzony i mocno „niedopasowany” rzucił swemu rówieśnikowi niczem wyzwanie: „Ty lubisz kotleta — ja wolę Hamleta”. Wybór został dokonany: w 1923 r. debiut pod okiem Makuszyńskiego wierszem „Szturm”. Jako 21-letni młodzieniec (ur. 1905 r. w Warszawie na Mazowieckiej) student filologii, pisał znakomitą i dojrzałą powieść satyryczną „Porfirion Osielek”. Rozrzucone w pismach drobne utwory satyryczne i liryczne ugruntowały jego pozycję w Kole Literackim UW. Kiedy miał czas studiować, pozostało jego tajemnicą. Przyjaciele: Al. Maliszewski, S. M. Salński, Wł. Słobodnik i inni wspominali wspólnie księżycowe spaceru urozmaicone dyskusjami, popasami w napotkanych knajpkach i przednie kawały aranżowane przez Kocia.

Kiedyś wyciągnął Słobodnika na jakieś przyjęcie. Pojawili się w kuchni, ku niemu zdziwieniu krzatającą się gospodyni. Woń potraw laskotała studenckie nozdrza. Lecz gdy Gała zapytał dobitnie: kiedy wreszcie będzie kolacja? — przy pomocy rodziny pozbyla się grzecznie obu panów. Przyjacielowi wyjaśnił lakonicznie, iż usłyszał adres w tramwaju.

Ludzi się koledzy, że mundur wpłynął organizując na rozwichrzonego członka Koła Literackiego, potem Kwadrasy. Ale gdzie tam... Pisywał często listy wprost z „paki” a na egzaminie zapytany co to jest karabin, odparł bez wahania — narzędzie szatana! I nawet nie miał pretensji, że pułkownik był innego zdania.

Wybaczone te amegdotyczne dygresje, lecz o Gałczyńskim pisać — w punktach i podpunktach poprawdy trudno. Nie mieści się w nich.

„To co było charakterystyczne dla Konstantego tych dni to wyjątkowo rzadko spotykane wśród pisarzy i artystów całkowite zatarcie różnicy między tym co mówił, a jak żył, oraz tym jak się zachowywał, a co pisał i myślał. Pędził w tych latach żywot czeladnika apollińskiego, walającego się po

dziwnych krainach stworzonych liryczno-groteskową wyobraźnią” — powie o nim Flukowski.

Pasażer zaczarowanej dorożki

Zaczarowaną dorożką jeździł nocnymi uliczkami Warszawy lat trzydziestych i rozrzucał swe pieśni cherubińskie i palcem obracał planety. Uwiózł nią zieloną Natalię. Wspólnie zajęchali do Wilna, gdzie Gałczyński prócz wierszy pisał świetne słuchowiska radiowe i piosenki dla Ordonki. A potem były „Noce Anińskie”. Zwykle niedostatek był szybszy od pegaza podkutego gwiazdami... „Bo to szczęście gdy jest rosół i bułka” — pisał poeta w „Piosence” (1934 r.), a mało kto zna dziś „dzieło” pt. „Wojciech Wolak”, które razem z Zarubą snuli w odcinkach na gościnnych łamach pewnego społecznego pisma, zapewniającego im zaliczki w krytycznych momentach!

W trzydziestym dziewiątym, po klęsce, niedawny „Wojak Szwajk” zdecydował dzielić los zwykłego jeńca w obozie Altengrabów i złożył piękny hold bohaterstwu swą „Pieśnią o żołnierzach z Westerplatte”.

Zaczarowana dorożka przywiozła znowu Gałczyńskiego do ojczyzny. Zaczarowany koń krzesze słarszyste iskry na krakowskim bruku. Przekomarza się z nim „Zielona Gęś”. Potem krótko Szczecin, zawłóczył serca i znowu Warszawa, miesiąc letnie spędzane w olsztyńskim Praniu. Powstają natchnione poematy „Niobe” i „Wit Stwoszc”, satyryczny „Ezop świeżo malowany”. I w 1953 roku latem „Pieśni”. Nim wysiadł na zawsze z zaczarowanej dorożki, u kresu podróży, ich końcowy akord zabrzmiał jak testament: „Chciałbym i mój ślad na drogach ocalić od zapomnienia”.

Zostawmy kłopoty krytykom

Zarzucał Gałczyńskiemu niektórzy krytycy niekomunikatywność — odbiorcy przeczyli. Miano mu za złe supernowoczesność i przeciwnie — „katarynkowość”.

Pozostawmy krytykom rozprawę o geizerycznej wyobraźni Gałczyńskiego, jego błyskotliwej metaforyce i niepowtarzalności. Niech sklasyfikują ow przedziwny amalgamat księżycy z tematem i Koncertem Brandeburskim. Nam pozostawia wiersze. „Wybaczone mi ludzie jeżeli w tych pieśniach dałem tak mało” — powie poeta. Mało? Owszem o wiele mniej niż mógł, gdyż odszedł w pełni sił twórczych.

O tym co pozostawił tak pisał Leopold Staff:

„Pokazałeś w wesołej herezji Przez swe fraszki fiołkowe i gęsie Ile jest nonsensu w poezji Ile poezji w nonsensie”.

Z problemów światowej ekonomiki

Głód i karabin

Stefan Orycki

Nie pamiętam, ile „przekrojowa” dieta — cud przewidywała kalorii dla chcących schudnąć delikwentów. Natomiast ustalono, iż organizmowi ludzkiemu potrzeba dla zachowania należytej sprawności, 2.400 kalorii dziennie, w czym powinno się znaleźć 70 gramów protein (*), częściowo pochodzenia zwierzęcego (przynajmniej 20 g).

Tyle — teoria. A praktyka? Sądzę, iż przeciętny zjadacz chleba w kraju między Odrą i Bugiem, nie najlepiej się orientuje, jak dalece odbiega ona od naukowych ustaleń. Oto aż ponad 2 miliardy ludzi spośród z górą trzech, zamieszkujących nasz glob, ożywa się co dnia zaledwie dwoma tysiącami kalorii, przy czym pożywienie ich zawiera średnio tylko 9 gramów — zamiast niezbędnych 20 — protein pochodzenia zwierzęcego.

Są to wyliczenia, potwierdzone oficjalnie przez ONZ. W czerwcu tego roku dr B. R. Sen, dyrektor generalny Organizacji do Spraw Wyżywienia i Rolnictwa (FAO), oświadczył w Waszyngtonie: „10—15 proc. ludności, czyli 300—450 milionów ludzi, formalnie głoduje”.

* Substancje organiczne wielocząsteczkowe, składające się z aminokwasów, są to białka proste.

duje, a od jednej trzeciej do połowy ludzkości cierpi wskutek głodu lub niedożywienia. Oto rozmiary między ludzką i marnotrawienia zasobów ludzkości”.

Zza lakonicznej formuły stwierdzeń szefa FAO wizerza przerażająca prawda o sytuacji wyżywieniowej ludzkości. Co więcej, nie jest to sytuacja, którą można odmienić w niedługim czasie. Poza bowiem względami natury politycznej, gospodarczej i czysto technicznej, w grę wchodzi problem demograficzny: liczba ludzi zamieszkujących kulę ziemską zwiększa się przecież i to — dosłownie — z sekundy na sekundę.

Dokończenie na str. 2

Atos tygodnia

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 112 Poznań, 8. XII. 1963 Rok III



W dziesięciolecie śmierci Konstantego Gałczyńskiego

Zbigniew Szumowski

Metamorfoza „Niedźwiedzia”

Jakie wrażenia po dziesięciomiesięcznej nieobecności w Berlinie?

Pytanie to usłyszałem kilkakrotnie pierwszego dnia, zaledwie zdążyłem rozpakować walizy i odbyć pierwszy wypad „na miasto”. Ale nawet tak powierzchowna — siłą rzeczy — penetracja znajomych ulic, wejście do kilku sklepów pozwoliło na stwierdzenie: „Olbrymie zmiany”. — Może Wy, tkwiąc w procesie ich narastania, nie zdajecie sobie sprawy z ich rozmiarów, mnie jednak zaskakują. Mój rozmówca — kolega po fachu — uśmiechając się, zaprotestował: — dostrzegamy je i odczuwamy!

*

Kiedy opuszczałem Berlin — miasto z niedźwiedziem w herbie — tuż przed ubiegłoroczną Gwiazdką, pierwsza fala mrozów „zimy stulecia” wyludniła już olbrzymi plac budowy w centrum stolicy NRD, obejmujący obszar wielu kilometrów kwadratowych na wschód od Placu Aleksandra. Tylko wzdłuż kilometrowego odcinka Karl-Marks-Allee, a także przy zbiegającej się z nią pod kątem 45 stopni Alei Aleksandra, pyszniły się już — w stanie surowym — dziesięciokondygnacyjne bloki mieszkalne.

Za to w klinie wytyczonym tymi arteriami komunikacyjnymi oraz na zapleczu drugiej strony Alei Marksa, aż po promienieście zbiegającą się z nią Aleję Lenina, zastąpiły w całej swej poczwarczej szpetocie „nowe” i „stare” tej części Berlina. Pomiedzy długimi ciągami fundamentów lub świeżymi wykopami pod nie, wśród ażuru dźwigów przygotowanych właśnie do szeregowego ustawiania metodą przemysłową przyszłych wielokopłotowców, wciąż jeszcze straszły mieszkalne szczytów przeszłości: ocalałe jako tako, wytłane w pierwszych powojennych latach porwane fragmenty czynszówek: z reguły — o ironio losu — oficyny tak wstydliwie niegdyś zakrywane blichtrzem.

Plastycy

Olgiard Błażewicz

O sprawach plastyki pisze się przeważnie z okazji wystaw. Poznajemy na nich rocznie kilku, może kilkunastu artystów, na „Salonie” — wystawie zbiorowej Związku — kilkudziesięciu. W samym tylko Poznaniu działa jednak paruset plastyków. Co oni robią, jak żyją, jakie są problemy ich środowiska? Na to pytanie staramy się odpowiedzieć w tym artykule. Ma on zapoczątkować serię materiałów o środowiskach zawodowych Poznania w nadziei, że może uda się nam w ten sposób zbliżyć społeczeństwo do życia tych środowisk.

★

Jest ich w Poznaniu 250, a w całej Wielkopolsce ponad 300. Tytuł ma legitymację związkową. Na „rynku artystycznym” nie liczy się ani pólwa. Wykrystalizowała się za to grupa najsilniejszych — kilkadziesiąt nazwisk. To oni nadają ton środowisku. Są to ludzie średniego pokolenia, którzy ukończyli studia krótko po wojnie. Mają liczne kontakty są znani, a to w tym zawodzie jest szczególnie ważne. O nich pisze się zwykle, gdy ocenia się działalność twórczą poznańskich plastyków.

Pojęcie pracy twórczej wymaga tu od razu wyjaśnienia. Plastyka przestała już być dziedziną sztuki „czystej”, wystawowej, służącej tylko „do oglądania”. Łączy się z architekturą, przemysłem — wszystkimi dziedzinami współczesnego życia. Plastycy już nie tylko odzwierciedlają życie miasta czy wsi, ale je kształtują. Rozwijają się plastyka użytkowa. Właśnie ona jest mocną stroną środowiska. Nie bez znaczenia są tu bodźce ekonomiczne, no i to, że jest ona najbardziej potrzebna. Jak na razie nie zdołaliśmy wypracować społecznego zamówienia na sztukę ściśle artystyczną, tę do oglądania, a szczególnie na malarstwo. I ona, o czym świadczy najlepiej ostatni „Salon”, przeżywa okres застоju. Nie tylko u nas. Właściwie na całym świecie.

W środowisku poznańskich malarzy największym powodzeniem cieszy się pejzaż i martwa natura. Najbardziej tradycyjne formy plastyki. Te, w których najtrudniej już się wypowiedzieć. Jeszcze trudniej dać coś nowego. Malarstwo jest na wielkim zakręcie. Abstrakcja już się trochę znudziła i plastynom i publiczności. Związanych z nią było wielu szarlatanów-karierowców nowoczesności. Nie chcę tu oczywiście negować wartości całego kierunku. Dał wiele interesujących obrazów, bez niego byłby nie do pomyślenia rozwój form przemysłowych i wzornictwa. Wiele zawdzięcza mu nowoczesna architektura i wnętrzarnstwo. Ale abstrakcja już coraz mniej angażuje plastyków. Przypadkowi jej kibice już odpadli. Powstała pewna pustka. Nie jest w stanie wypełnić jej

Dokończenie na str. 2

BERLIŃSKIE REFLEKSJE

Domu Nauczyciela. Ale we wszystkich budynkach mieszkalnych zdomowało się przestronnie i dostatnio 2500 rodzin. W lecie wykończono (zaplanowaną z godną naśladowictwa pomysłowości) tak zwaną małą architekturę, troskliwie od tego czasu pielęgnuje się społecznym wysiłkiem — zielenie.

Każdy jesienny tydzień jest traktowany jako wystarczająco godny termin do otwarcia bez kampanijnego pospiechu, niedbalstwa oraz nadmiernych kosztów kilku kolejnych rzeczywiście nowoczesnych obiektów handlowych, usługowych lub kulturalno-rozrywkowych. Oto dla przykładu w „zwykłą” sobotę, 15 listopada, premierą radzieckiej „Optymistycznej tragedii” zainaugurowano działalność najnowocześniejszego (superekranowego i stereofonicznego) kina „International”. A przecież — zdawałoby się — można by o tydzień wcześniej, czcząc w ten sposób rocznicę dwóch rewolucji Październikowej i niemieckiej Listopadowej sprzed 45 lat...

*

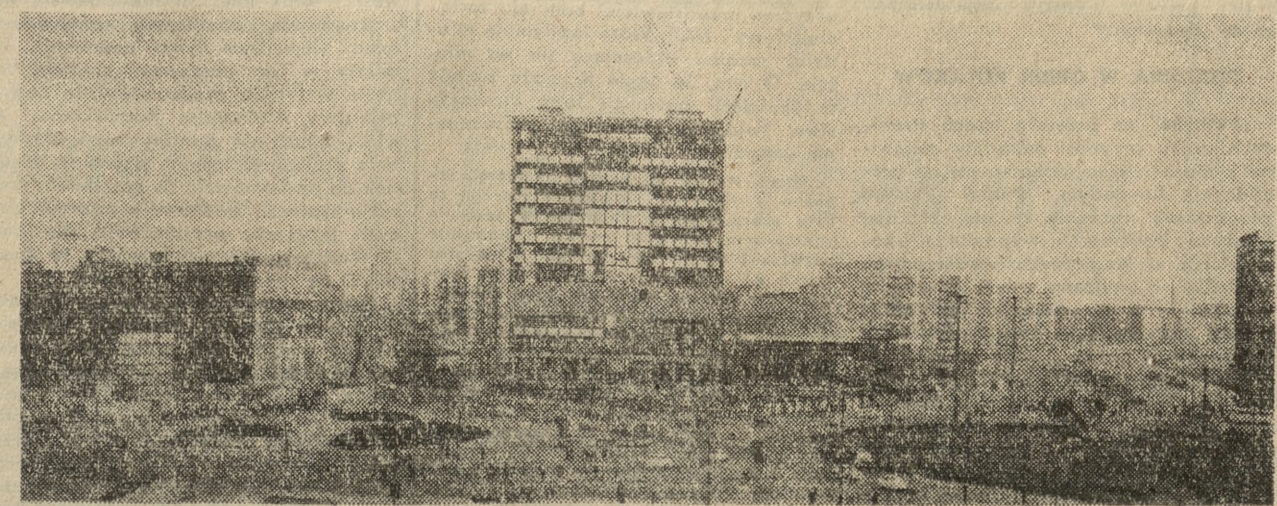
Tramwaj „63”, którym jadę w niedzielne południe z Aleksa na Hohen-schoenhausen, zanim wydobędzie się

na normalne torowisko przy zablokowanej częściowo Leninallee, kuciący zawiłe (prowizorycznym torem) przez to zagłębienie budowlane. Za oknem widoki zmieniają się jak w kalejdoskopie. Oto połyskliwa biel ceramicznych płytek, którymi wyłożony jest już wykańczany blok, gąsi cunopowata szarzysta montowanego dopiero wielkopłytowca. Ostry skręt wozu i w przesuwanym się na odległość wyciągniętej ręki oknie parterowego mieszkania, migawka młodej pary odskakującej od siebie; w następnym kolorowe rolosy, potem białe cederonowe firany i w kolejnym otwartym właśnie oknie, przez które widac męzczyzną zawieszającego lampę, czai się strachliwie nieprzywykły widac jeszcze, bury kocur. Teraz luka między budynkami, w której króluje wysokościowiec hotelu „Berolina” (450 miejsc, piękna turkusowa okładzina ceramiczna), poczem defilują przed nami różnokolorowe płyty z mas plastycznych, stanowiące osłonę długiego szeregu parterowych półbalconów.

Kiedy tramwaj ponownie skręca, na tle skupiska w schody ustawionych, w rozmaitym stadium wykańczania znajdujących się wielkopłytowców, sterczy ocalały kiedyś naróżnikowy kikut dawnej kamienicy, w której egzystuje jeszcze typowy wyszynk piwa; jego zaś ściany wykorzystuje się najwyraźniej jako do świadczalne półko dla wypróbowania różnego typu i kształtów ceramicznej ornamentacji. Oto duży blok mieszkalny o przestrzennej klatce schodowej widocznej przez całkowicie szklane, obwiedzione tylko wąziutką taśmą aluminiowej ramy, dwuskrzydłowe drzwi. Za nimi konspiracyjnie coś uzgadniająca gromada chłopców. Znowu budzą się skojarzenia.

*

U nas na przykład przy budowie nowoczesnej w swym pomysle architektonicznym szkoły przy ul. Janickiego, zastosowano jeszcze starswieckie, nie dające gwarancji swej sprawności drewniane ramy okienne i ciężkie nie na siłę dzieciaków żelazne ramy drzwi wejściowych. Tu, szeroko już zachowując zgodność pomiędzy formą a tworzywem, stosuje się w takich przypadkach lekkie stopy. Gdzie więc bardziej rozsądnie wykorzystuje się kanony nowoczesności w budownictwie? U nas — podejmując się realizację wielu nowoczesnych tylko w pomysle, w realizacji zaś, ze względu na niedostatek odpowiednich materiałów starswieckich budynków? W NRD — gdzie nowoczesne projekty architektoniczne realizuje się w ilościach na jakie pozwala zaopatrzenie materiałowe, nie wyrzekając się jednocześnie jak zaba błota, budowy pozostałej ilości potrzebnych, ale już tradycyjnie budowanych i zgodnie z tym planowych domów? Oto problem!



Plac Aleksandra w Berlinie

Plastycy

Dokończenie ze str. 1

na dół zdewaluowany już artystycznie naturalizm. Może dlatego konfrontacja dorobku artystycznego środowiska na „Salonie” wypadła tak anemicznie.

Nie ma w Poznaniu wyraźnych grup i kierunków twórczych, manifestów i zażartych dyskusji artystycznych. Na spotkanie dyskusyjne w klubie „Od nowa” na temat poznańskich plastyki i ostatniego „Salonu” nikt z plastyków na przykład nie przyszedł. Na odczyty Madeyskiego też było tylko kilkunastu. Za parę miesięcy uzewnętrzną się „poznańska grupa realistów”. Może to jest zapowiedź zmian? Na XIII Plenum plastycy zareagowali raczej wzmogłą pracą społeczną, niż próbami samookreślenia się artystycznego. Plastycy mają, o czym się na ogół nie pamięta, instynkt pracy społecznej, lubią widzieć efekty swej pracy, chcą wejść do społeczeństwa. Stąd akcja ofiarowywania obrazów do Szkół Tysiąclecia, stąd plenery konińskie i wystawy objazdowe, no i różnorodne inne formy pracy społecznej.

Mocną stroną poznańskich plastyki jest plakat i w ogóle grafika. Świadczy o tym chociażby powołanie w Poznaniu placówki WAG-u. Dobrze rozwija się też rzeźba. W ostatnich latach zrealizowanych zostało kilka ciekawych pomników. Największe osiągnięcia ma jednak plastyka użytkowa. Potencjalnym zleceniodawcą jest Państwowe Przedsiębiorstwo Pracowni Sztuk Plastycznych. Współpracuje z nim przeszło dwustu plastyków, przeważnie architektów wnętrz i grafików. Wykonują najrozmaitsze prace od wystawiennictwa, projektów pawilonów targowych, poprzez reklamy i neony, aż do wzornictwa i projektowania form przemysłowych. To plastycy projektują nowe kształty lamp, magnetofonów, radi, maszyn i... wagonów kolejowych. Przez PSP przeszła budowa wnętrza holu Dworca Głównego, polichromie Ratusza i Starego Rynku, i pomniki: Mickiewicza i Kasprzaka.

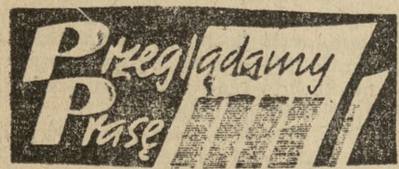
Legendą krąży o zarobkach plastyków. Plastycy są członkami związków twórczych, żyją przeważnie z pracy artystycznej, tylko nieliczni pracują etatowo (bodajże siedemdziesięciu, przeważnie architektów wnętrz i grafików). Kilkunastu malarzy uczy w szkołach. Pozostali żyją jak motyle, od zamówienia do zamówienia. Zarabiają wcale niewiele. W czasie Targów zdarza się i 20 tysięcy, potem długa przerwa. Są plastycy-akwizytorzy, oni sami sobie zbierają zlecenia. Ci zarabiają sporo. Ale są też artyści, hołdujący sztuce „czystej”, brzydczący się zarobkowaniem, utożsamiający to z tzw. chałturą. Jedni mówią, że są to ludzie leniwi, inni, że jest to „bunt artystyczny”. Dość, że dysproporcje w zarobkach są szalone. Ta elita finansowa, to architekci wnętrz i graficy użytkowi. Średnio około dwustu plastyków zarabia w PSP ok. 3-4 tysięcy zł miesięcznie. Ci, najbardziej „wzięci”, grubo więcej. Najgorzej stoją malarze, jest ich w Poznaniu stu, tylko kilkunastu sprzedaje swe obrazy. Kupuje je przeważnie państwo. Kilku plastyków, malarzy i rzeźbiarzy korzysta ze stypendiów Ministerstwa Kultury i Sztuki. Z rzeźbiarzami zupełna karuzela, jedno zamówienie, to kilkadziesiąt tysięcy, ale zamówienia zdarzają się rzadko i tylko dla najwybitniejszych.

Plastycy korzystają z pewnych przywilejów, mają one zabezpieczyć im fundusze na prace twórcze. Płacą podatek tylko od połowy zarobionej sumy. To dość istotne. Ale nie mają ubezpieczeń na starość, zawód ich nadal nie jest prawnie chroniony. Jeśli są chorzy, nie zarobkują.

Przeciętnie około 20 osób przybywa corocznie do związku po szkole. W Poznaniu zaczyna być tłoczno. W niejednym mieście powiatowym nie ma żadnego plastyka. Potrzebują go domy kultury, szkoły, a przede wszystkim zakłady pracy do projektowania form przemysłowych i wzornictwa. Plastycy nie mają jednak bodźców ekonomicznych do osiedlania się w terenie, ani zagwarantowanego mecenatu. Tylko dwa powiaty: piński i turecki, objęte są tzw. patronatem plastyka. Bardzo pożyteczna to forma, plastyk doradza wystrój wnętrz, opiniuje prace amatorskie, projektuje dekoracje miasta. Patronatem objętych było kilka powiatów, no cóż, trudności obiektywne. Rady narodowe obiegują pomoc, potem wycofują się — zapominają. Plastycy zniechęcają się, nie próbują ponownie zdobywać terenu. Zresztą niechętnie opuszczają oni Poznań. Lubią żyć w swoim środowisku, w zespole. Jest rzeczą znaną, że zżenienie się w większości z koleżankami — plastyczkami. Ich życie towarzyskie i intelektualne koncentruje się w Klubie Związków Twórczych przy Związku Plastyków. Bywają tu też literaci i aktorzy, tu dokonuje się w pewnym stopniu integracja środowisk twórczych miasta. Odbijają się tu stałe dyskusje teatralne, odczyty, spotkania z twórcami. Wiele cennych inicjatyw tutaj się rodzi.

Środowisko poznańskich plastyków trudne jest do rozszyfrowania w jednym artykule. Jest ciekawe, różnorodne, dynamiczne. Ma dobrą opinię w kraju.

OLGIERD BŁĄŻEWICZ



GÓRNICZY PATRIOTYZM...

Śląski pisarz Wilhelm Szewczyk pisze w tygodniku „Kultura” na temat patriotyzmu górników:

„Patriotyzm — stwierdza autor — jest najistotniejszą cechą społeczności górniczej. Niezależnie od potrzeby narodowej — w czasach kapitalistycznych przyjął on formę szczególnego przywiązania do kopalni, nawet wówczas, gdy była ona wroga. Nie była to wierzność wobec właścicieli zakładów. Była to zawodowa wierzność pracy poparta wielowiekową tradycją, wspomaganą przez tęsknotę za zmianą porządku rzeczy, w walce o społeczną sprawiedliwość. Ta wierzność pracy stała się w Polsce Ludowej podstawowym warunkiem swoistości świata górniczego. Rozszerzył się jego horyzont. Współuczestniczenie w procesie gospodarczego, politycznego i społecznego rozwoju przyjęte zostało przez górników jako naturalna konsekwencja dotychczasowych walk, poczynań i przymysłów. Nowa odpowiedzialność społeczna nie była darem losu ani szczególną bo niespodziewaną formą awansu. Była koniecznością, na której przyjęcie górników było na ogół dobrze przygotowanych”.

...I SOLIDARNOŚĆ

Ten temat omawia z kolei w tym samym tygodniku min. Jan Mitrega w rozmowie ze Stanisławem Markiewiczem, zatytułowanej „Solidarność, kultura, praca”.

„Charakter pracy podziemnej — czytamy — stworzył specyficzną więź solidarności społecznej i kolektywnego wysiłku. W tej to społeczności górniczej wyrobiła się szczególna — jakże wysoka — moralność i etyka zawodowa, zadziwiająca dyscyplina pracy podziemnej, poszanowanie prawa i porządku społecznego, serdeczne koleżeństwo do i niedoli twardego życia górniczego”.

CZYTAJCIE BILANSE!

Mieczysław Bańkiewicz rozmawia przy liczeniu na łamach „Tygodnika Demokracji” z...

Głód i karabin

Dokończenie ze str. 1

sekundę, przy czym przyrost ten ma wszelkie cechy przyrostu żywiołowego. Każda sekunda przynosi nam narodziny trójki dzieci, każdy dzień pomnaża ludność o 160.000 głów, a każdy rok — o 61 milionów. Przed dwoma laty było nas na tym padole 3 miliardy z okładem, w roku 2000 będzie nas dwa razy tyle!

Fakt pozostaje faktem, iż stażemy w obliczu problemu najważniejszego z ważnych: jak zapewnić egzystencję trzem, czterem, a wkrótce pięciu i sześciu miliardom ludzi, skoro już teraz, gdy jest nas o wiele mniej, raporty FAO są wręcz alarmujące? I czy w ogóle przy obecnym stanie wiedzy i techniki zadanie zapewnienia dostatku żywności trzymiliardowej rzeszy ludzkiej jest wykonalne?

Na pytania te specjaliści z całego świata szukali odpowiedzi w toku czerwcowej sesji FAO. Ustalono, iż około roku 2000, a więc w stosunkowo nieodległej przyszłości, tej przyszłości, z którą dzisiejsze dzieci i młodsi z nas niechcinnie się zetkną — produkcja żywności na świecie będzie musiała wzrosnąć o 123 proc. Te 123 proc. stają się niezbędne tylko dla zaspokojenia potrzeb żywnościowych zwiększającej się liczby ludności.

Aby natomiast w roku 2000 dźwignąć poziom wyżywienia wszystkich ludzi na świecie do normy 2400 kalorii dziennie, na to potrzeba będzie czterokrotnego zwiększenia produkcji żywności w Azji i na Dalekim Wschodzie, trzy — czterokrotność w Ameryce Łacińskiej, trzykrotność na Bliskim Wschodzie i dwu — trzykrotność w Afryce. Jest to zadanie gigantyczne, choć wykonalne. Ale...

Popęlić można by grubą błąd, poprzestając na analizie samych jedynie przeciętnych wskaźników. Mają one bowiem to do siebie, iż niejednokrotnie zacierają wyrazistość obrazu. Dlatego właśnie, mimo czysto rachunkowego bilansowania się prognoz produkcyjnych rolnictwa dotyczących roku 2000, trzeba zdać sobie sprawę z olbrzymich trudności, jakie mogą wystąpić w niektórych regionach świata.

Otoż wprawdzie produkcja żywności wzrasta szybciej niż wzrasta liczba ludności (ludzi jest obecnie o 35 proc. więcej niż przed wojną, żywności — o 50 proc.), ale niemal cały ten przyrost nastąpił w krajach najbardziej rozwiniętych. Tam natomiast, gdzie odczuwano i odczuwa się nadal ostry niedostatek artykułów spożywczych — tam cały przyrost produkcji żywności został pochłonięty przez przyrost ludności. A przecież jakaś masowa mi-

gracja ludności — z regionów świata niedożywionych do „sytich”, nie może być poważnie brana w rachubę.

Nie można chyba także wiele obiecywać sobie po tak zwanych apelach do serc i sumień ludzkich, nie jest to bowiem metoda, mogąca w efekcie zmienić w sposób zasadniczy sytuację żywnościową którejkolwiek części świata. Trudno także wyobrazić sobie, by międzynarodowy kapitał zaniechał eksploatacji niektórych regionów tego globu i „przestawił się” na wspomaganie ubogich. Inaczej mówiąc, podjęcie prób pokonania głodu — nie będzie możliwe bez szeroko zakrojonej międzynarodowej współpracy. Tylko wówczas powstaną warunki dla pełnego zaangażowania najnowszych zdobyczy nauki i techniki.

Eugeniusz Paukisz

Cykle i serie PIW-u

Otrzymałmy nowy tom z doskonałego redagowanej serii wydawniczej poświęconych literaturze średniowiecza.

Tym razem są to „Powiatki ucieśnione a swawolne”, wybór przełożonych przez Annę Tatarkiewicz tekstów z francuskiej literatury narracyjnej XV i XVI wieku. A no cóż, mieli ludzie tamtego czasu poczucie humoru, nieco rubaszności i swawolności, ale na pewno lepsze to od wszelkich współczesnych kaltenjammerów i well-schmerzów. Miła lektura, wiele uśmiechu, choć nie zabraknie przy czytaniu i chwil refleksyjnej zadumy.

Równie pięknie wydana została w ramach cyklu książek związanych z teatrem praca Bronisława Horowicza „Teatr operowy”, studium o teatrze muzycznym, rzecz ciekawa, już w 1946 r. opublikowane w przekładzie francuskim, dziś dopiero ukazujące się w polskim oryginale. Horowicz, świetny reżyser, uczeń Leona Schillera zajmuje się tutaj zarówno analizą wzajemnego stosunku muzyki i słowa, jak dziejami realizacji operowych, dążąc do opracowania esyki operowej w części zamykającej książkę.

Eseistyka historyczna jest nadal pielęgnowana. Bestsellerem, na który trzeba polować po księgarniach, staje się książka Pawła Jasienicy „Polska Jagiellonów”, podbudowane wielką erudycją, a przy tym odważne, w niejednym dyskusyjnym studium epoki, która tak wiele zaważyła na losach Polski. Zresztą, Jasienicy nie muszą chwalić, powodzenie „Polski Piastów”, pierwszego tomu z zamierzonego cyklu esejów o dziejach Polski jest najlepszym dowodem atrakcyjności wypowiedzi tego autora.

Chcę dzisiaj zaanonsować czytelnikom nową powieść Jerzego Andrzejewskiego pt. „Idzie skączyć po górach” — choćby dlatego, że i ona jest trudno osiągalnym rarytatem wydawniczym. Andrzejewski, w finezyj-

Tego rodzaju współdziałanie narodów uzależnione jest jednak od politycznej atmosfery na świecie. Pokojowe współistnienie stanowi ów warunek sine qua non, bez spełnienia którego zabraknie po prostu ludzkości środków na realizowanie najbardziej humanitarnego przedsięwzięcia: likwidacji widma głodu. Środki te bowiem, jak do tej pory, narody świata przeznaczają w nie-małym stopniu na zbrojenia. Oficjalne dokumenty ONZ tak właśnie formułują ów problem.

Stanowi więc walka o ograniczenie zbrojeń, prowadzona konsekwentnie przez nasz obóz, niesłychanie istotną kampanię, której znaczenie dla ludzkości nasuwa skojarzenia z hamletowskim „być albo nie być”. Nie tylko dlatego, że kontynuacja wyścigu zbrojeń, to widmo grzyba atomowego, nad światem. Także dlatego, że wyścig zbrojeń może nas pozbawić zwycięstwa w wyścigu z głodem.

STEFAN ORYCKI

nej stylistycznie, zmiennej w formach i kadencji nastroju opowieści, gdzie w bohaterach doczytać się możemy prawzoru Picassa, akcentuje wagę erotyzmu czy zgoła seksu jako motoru napędowego twórczości. Przy tym tekst zawiera parcie zaskakujące — choć nie bez sprzeczności — swoistą filozofią sztuki, oryginalnym spojrzeniem na świat.

A teraz rozchwytywana tzw. „celofanowa” biblioteka poetycka. Tutaj ukazało się w jednym czasie aż pięć nowych pozycji, każda bardzo wartościowa.

Zacznijmy od rodzimego kręgu. A więc najbardziej chyba kompetentnie

Z KSIĄŻKĄ NA TY

przygotowany przez Anoniego Słonimskiego „Wybór poezji” Juliana Tuwima, od „Czyhania na Boga”, aż po teksty z teki pośmiertnej. Z kolei, w 10 rocznicę śmierci poety, w wyborze i ze wstępem, bardzo ciekawym, A. Międzyrzeckiego „Liryka” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. A z innych tomików to przede wszystkim „Wiersze Wybrane” Rafała Alberti, znakomitego poety hiszpańskiego, od lat emigranta w dalekiej Argentynie, gdzie soki dla swej twórczości czerpie jednak nadal ze swej rodzinnej ziemi. Dalej zaś, w opracowaniu i przekładzie A. Międzyrzeckiego „Elza”, poemat Louisa Aragona, który nawiązując do dawnego eposu miłosnego, staje się wyrazicielem współczesnej poezji miłosnej. I wreszcie Wilemiera Chlebnikowa „Poezje”, w wyborze i opracowaniu Jana Śpiewaka. Warto się z Chlebnikowem bliżej zapoznać. Poeta, nowator, cygańska dusza, matematyk zarazem, futurysta ale nie przylegający do żadnej z grup i szarżowanych przez nie teorii, przy tym artysta subtelny i czuły, właściwie dopiero po raz pierwszy daje się tym wyborem poznać polskiemu czytelnikowi. Niech ten wybór stanie się i w naszej stronie uznaniem okazanym zmarłemu młodo, niepodobnemu ani z sobą ani ze światem poecie.

Przemysław Bysirzycki

Nowa książka Aleksandra Rogalskiego

Nowa książka Aleksandra Rogalskiego nosi tytuł: „Most nad przepaścią”. Podtytuł lapidarnie określa zawartość tomu: „O Tomaszu Mannie”. Jest to praca, która w sposób zasadniczy wypelnia lukę w polskiej bibliografii o autorze „Czarodziejskiej góry”. Jest to — podkreślimy — pierwsza pozycja książkowa w naszym języku, traktująca o wielkim pisarzu niemieckim.

Tom ma dwie integralnie związane z sobą części. W części pierwszej krytyk przeprowadza studia nad wybranymi utworami Manna. Druga stanowi próbę syntezy. Z tej przyczyny pozycja ta nie jest w ścisłym znaczeniu słowa monografią o pisarzu. Nie traktuje o całokształcie życia i twórczości. Jest pierwszą polską próbą krytycznego oświetlenia tej trudnej i skomplikowanej osobowości. Brak miejsca nie pozwala na szczegółowe, analityczne omówienie tomu. Chciałbym tylko nadmienić, iż doszły w tym obszernym studium do głosu wszystkie przekonujące cechy pisarstwa Aleksandra Rogalskiego. A więc: aktualność zainteresowań, doskonała znajomość tematu, poważny stosunek do podejmowanych zagadnień, szerokie zaplecze źródłowe w czterech obcych językach; przysięgłość, ale bez pływającej popularności wieniec to osobliwie na naszym rynku dzieło.

Rzecz znamienita — w porównaniu z wcześniejszymi pracami, Rogalski uczynił wysiłek, aby rozbudować własne poglądy. Oparł je jak zwykle rzecznie: o dobrą i — w założonych granicach — wszechstronną analizę poszczególnych utworów. Z natury rzeczy ogólnokulturowe kulisy działalności Manna, tzw. intelektualne tło epoki, zostało zwięźle oświetlone do Niemiec. Rogalskiego, kronikarza dramatyzmu wśnółczesnej egzystencji i współczesnej kul-

tury, zafascynował Mann jako lustro swego czasu, jako odbicie tych niepokojów, tego barbarzyństwa, które doszło do głosu w hitleryzmie. Ale odbicie to głównie utamkowane. Mann — pisarz-esteta, pisarz głównie wnętrza i własnych postaw, niewiele uwagi swoim dniom poświęcił w utworach. Jeszcze najbliższy postulatowi rozrachunku z historią niemiecką lat ostatnich „Doktor Faustus”, księga, która niejako towarzyszy narodowi niemieckiemu w jego największej klęsce. Ale ten, na kartach powieści nie ukazujący dramat historyczny, zawarł w sobie sam człowiek, twórca, jeden z największych pisarzy doby obecnej — sam Tomasz Mann.

Rogalski ustawia reflektory, dobiera punkty widzenia. Pleć i pćciowość, rola jej w świadomości artystycznej Manna — to raz. Freudyzm, adleryzm, poglądy Junga, kompleksy indywidualne i kompleksy zbiorowe — to dwa. Antynomia: estetyzm — barbarzyństwo — trzy. Frywolność, persyflaż, autoironia — cztery. Na tych liniach, z grubszą białką, wyznacza krytyk swój szlak. Śledzi, tropi, porównuje. Jest krytykiem budującym jasny, przejrzysty, sugestywny obraz Tomasza Manna, obraz, do którego doszedł własną pracą.

Wiele ciekawych zagadnień z braku miejsca muszę zostawić na boku. Należy nadmienić, iż trud Aleksandra Rogalskiego, doskonała znajomość przedmiotu, rodzaj zainteresowań, oraz cechy jego metody krytycznej, poruszone skrótkowo powyżej, budują na drodze twórczej Rogalskiego pozycję o nieprzemijającej wartości.

A1. Rogalski: „Most nad przepaścią”, wyd. „Pax”, str. 392 + Przypisy + Bibliografia szczegółowa i ogólna + Wykaz utworów Tomasza Manna. 1963.

LEKTOR